

WOJCIECH
CHMIELARZ
ZBĘDNI

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Wojciech Chmielarz

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

A to był taki piękny, kurwa, wieczór, pomyślał Jasiak ze łzami w oczach, patrząc na leżące na drodze ciało kobiety.

Pracował cały dzień, w siąpiącym deszczu sprzątał teren kempingu. Sezon się skończył, tylko ten Belg, ale on nie przeszkadzał. Prawie nie wychodził ze swojego kampera, nie wiadomo, co właściwie tam robił.

Jasiak krążył więc po kempingu w poszukiwaniu ostatnich śladów lata, które wrzucał do śmieci. W najdziwniejszych miejscach znajdował puste puszki po piwie, butelki po wódce, wypalone papierosy i zużyte prezerwatywy. Łącznie siedem worków, wypełnionych po brzegi, których zawartość należało jeszcze przejrzeć i posegregować. Zajęło mu to ponad dwie godziny.

Potem dał psu jeść. Pies był stary. Miał już dwanaście lat. Albo i więcej, bo nikt przecież tego dokładnie nie liczył, nikt mu nie wyprawiał urodzin z mięsny tortem i parówkami zamiast świeczek. Mieszaniec labradora, wielki, czarny jak noc. Wzięli go, żeby pilnował terenu poza sezonem. Dawniej ciągle darł się jak opętany, kiedy pojawiał się ktoś obcy, teraz zdarzało mu się to dużo rzadziej. Przez lata się postarzał, zrobił się leniwy. Do tego miał problemy z biodrami. Nie biegał, ale truchtał i przy każdym ruchu widać było, że sprawia mu to ból. Jasiak ukrywał go przed właścicielami. Na szczęście oni rzadko się pojawiali. Mieli inne biznesy. Większe, ważniejsze, przynoszące więcej pieniędzy. A gdyby zobaczyli zwierzaka, na pewno

kazaliby go uśpić, pieprzyliby coś o tym, że po co im pies stróżujący, który nie potrafi biegać.

– Co oni, kurwa, wiedzą? – mruknął Jasiak, siedząc na rozłożonej kurtce, paląc papierosa i obserwując jedzącego kundla.

Pies podniósł łeb i spojrzał na niego ciemnymi oczami, jakby chciał dopytać, o co mu właściwie chodzi, a potem podbiegł niezgrabnie i uderzył czule łbem w pierś mężczyzny, przewracając go na ziemię. Jasiak stęknął cicho, papieros wypadł mu z ust. Przez chwilę tak leżał, czując, jak woda przesiąka mu przez wełniany sweter, i głaskał psa po grubym karku.

– No już, już – powiedział wreszcie, odpychając go od siebie.

Wstał, potarł nos jeszcze kundla za uszami i wrócił do pracy.

Pomyślał, że po całej tej harówce zasługuje na to, by zrobić dla siebie coś dobrego. Wsiadł do wysłużonego Citroëna i pojechał do Kowar, żeby zjeść obiad w tamtejszym barze. Zamówił hamburgera z frytkami, a po chwili zastanowienia – piwo. Uznał, że jedno mu nie zaszkodzi. Był wielkim facetem. Poza tym miało być do posiłku, a i tak pewnie jeszcze posiedzi i zapali papierosa, porozmawia z kolegami, którzy powoli zaczęli się schodzić, równie zmęczeni jak on po całym dniu roboty.

Wypił sześć, chociaż nie do końca pamiętał, kiedy i dlaczego. Bo naprawdę planował wypić tylko jedno – do posiłku – ale przyszedł Wójt. Wyszli na zewnątrz, rozmawiali o pierdołach i o tym, że Jaśko-wi kiepsko chodzą hamulce. Wójt zachęcał go do wizyty w warsztacie, obiecywał, że coś zaradzą, i to tanio. Jasiak powiedział, że przyjedzie, ale skłamał. Nie przelewało mu się i uznał, że wystarczy, jak będzie jeździł wolno. Potem wrócili do środka i Wójt zaczął namawiać go na kolejne piwo. Jasiak odmawiał, całkiem długo, aż zirytowany mężczyzna wyciągnął portfel, zamówił dwa browary i postawił przed nim pełen kufel. Jasiak nie miał zwyczaju odmawiać darmowego trunku.

A potem było trzecie, bo dobrze się gadało. Poza tym w gardle drapało go po kolejnym papierosie. I czwarte, bo zagrali w bilard,

a jak tu grać w bilard, skoro nie ma niczego do picia. Piąte, bo jakiś debil zaczął gadać o polityce, a takie rozmowy zawsze Jaśka irytowały, a nic nie uspokajało tak jak piwo. Wreszcie szóste, bo wszyscy rozchodzili się już do domów i trzeba się było pożegnać.

Plan miał taki, że najpierw przejdzie się kowarskimi uliczkami. Niedaleko, może przemaszeruje w dół i w górę starówki, do urzędu miasta i z powrotem, otrzeźwieje trochę. Ale znowu zaczęło siąpić. Przekłęta karkonoska mżawka. Lodowata, gęsta, przenikająca do szpiku kości. Wsiadł więc do samochodu, odpalił silnik, nastawił ogrzewanie na maksa i obiecał sobie, że nie będzie się śpieszył. Zresztą nie miał daleko, a do tego drogą głównie przez las, gdzie nigdy nikogo o tej porze nie było. Byleby tylko tam dojechać.

Ruszył spokojnie. Jechał nie więcej niż trzydzieści kilometrów na godzinę. Ścisnął mocno kierownicę, wychylał się lekko do przodu i marszczył brwi, mając nadzieję, że to pomoże na rozchwiany, rozmazujący się obraz przed oczami. Beknął przeciągle. Ciepłe powietrze z nawiewu uderzało go prosto w twarz.

Wkrótce wyjechał na obwodnicę Kowar. Tam lekko przyśpieszył, bo o tej porze droga była prawie pusta, a on chciał jak najszybciej dotrzeć do domu i położyć się spać.

Kiedy mijał skrzyżowanie niedaleko stacji benzynowej Circle K, zauważył stojący tam radiowóz z włączonym kierunkowskazem. Policjanci ruszyli, gdy przejechał obok nich. Jasiek natychmiast zaczął się pocić. Nerwowo zerkał w tylne lusterko, na jasne reflektory jadącego za nim samochodu. Dlaczego byli blisko? Niemal siedzieli mu na zderzaku! Co powinien teraz zrobić? Zjechać w bok, żeby ich przepuścić? Ale to wydawałoby się przecież podejrzane. Nie jechali na sygnale ani nic takiego. Przyśpieszyć? Ale czy wtedy nie przekroczyłby prędkości? Albo mogłoby się wydać, że przed nimi ucieka? A może zwolnić? Sam nie wiedział. Przez moment rozważał, czy po prostu nie zatrzymać się na poboczu i nie udawać, że chce mu się siku

(w sumie nie musiałyby udawać), ale nogi zrobiły mu się miękkie i bał się, że kiedy wysiądzie z samochodu, odmówią mu posłuszeństwa i wyłożą się jak długi na asfalt. Czyli mógł tylko jechać przed siebie. Pełną zakrętów, nierówną, ciemną drogą prowadzącą na Przełęcz Kowarską. Z siedzącymi mu na ogonie policjantami, co do których był pewien, że czekają tylko na jeden jego błąd, żeby włączyć sygnał i zatrzymać go do kontroli drogowej.

– Ja pierdolę – wymamrotał.

Plecy miał całe mokre, dłonie ślizgały mu się po kierownicy. Sięgnął po paczkę papierosów, żeby zapalić jednego i w ten sposób się uspokoić. Samochód jakby sam zjechał w prawo i niemal uderzył w barierkę, która oddzielała drogę od stromego zbocza. Jasiak odbił w ostatniej chwili. Szybko spojrzął w lusterko, pewny, że policjanci zauważyli niebezpieczny manewr i zaraz każą mu się zatrzymać.

Ale nic takiego się nie stało.

Po prostu dalej za nim jechali. Jakby ich to bawiło. Jakby zbierali dowody. Pewnie mieli w środku jakąś kamerkę. Policzą jego błędy, wszystkie złamane przez niego przepisy, a potem go zniszczą, zmiażdżą i przemiela.

– Kurwa – warknął.

Poczuł do nich nienawiść. Miał ochotę zahamować gwałtownie. Nie zdążyliby się zatrzymać, walnęliby w tył jego samochodu. Był ciekaw, jak by im się to spodobało.

Powstrzymała go jedna z nielicznych rozsądnych jeszcze komórek w jego mózgu. Zacisnęła zęby.

Przestał na moment myśleć o policjantach i zaczął w duchu przeklinać Wójta. Gdyby nie on, nie wpakowałby się w te kłopoty. Zjadłby obiad, wypił jedno piwo i wrócił do siebie. Tyle. Ale Wójt musiał go namawiać, wiercić mu dziurę w brzuchu, postawił nawet tego browara. Jakby źle Jaškowi życzył. Jakby spodziewał się, że coś takiego się zdarzy.

A może to on nasłał na niego policjantów? Zadzwoił do nich albo wysłał anonimowy cynk, że Jasiak wypił trochę za dużo?

Zaczął zwalniać, zanim jeszcze dojechał do Przełęczu Kowarskiej. Oddychał płytko, serce mocno mu waliło, do tego chciało mu się sikać. Przez chwilę zastanawiał się, co pierwsze pęknie – serce czy pęcherz.

Wrzucił kierunkowskaz w lewo i skręcił w wąską leśną drogę prowadzącą na kemping.

Policjanci pojechali prosto.

Odetchnął głęboko kilka razy. Poczul, jak rozkoszna ulga rozplywa się po jego ciele. Zaczął się głośno śmiać i walić jak oszalały w kierownicę.

Przyśpieszył, bo chciał być już w domu. Droga była wąska i nierówna, oświetlały ją tylko reflektory jego Citroëna, ale znał ją na pamięć. Pamiętał każdą dziurę i mógł dojechać do celu nawet z zamkniętymi oczami.

I chyba nawet je zamknął. Może dlatego, że tak głośno się śmiał. A może fala ulgi i gorące powietrze wiejące mu prosto w twarz sprawiły, że zasnął na moment, na dosłownie kilka sekund, pokonany przez zmęczenie, stres i alkohol.

Nie widział jej.

Nie powinno jej tutaj być. Nie w środku nocy. Nie o tej porze.

Nie widział jej.

Tylko usłyszał, jak uderza w nią rozpędzonym samochodem.

Huk, jakby ktoś walnął w maskę wielkim młotkiem.

Krzyknął, przestraszony. Otworzył oczy. Zobaczył jeszcze, jak kobieta leci w górę, jakby poderwana przez ogromną siłę, a potem uderza głową w pień rosnącej nieopodal sosny.

Zahamował gwałtownie. Pas wbił mu się boleśnie w pierś.

Siedział w wozie. Nie wiedział, jak długo. Silnik pracował miarowo, a on patrzył na leżącą przed nim na drodze kobietę w ciemnym dresie. Nienaturalnie powyginaną, z dziwnie przekrzywioną głową,

rozpuszczonymi włosami, które ułożyły się tak, że przypominały teraz aureole, i strużką krwi wypływającą z ust.

– Panie Boże... spraw, żeby to była sarna... – Usłyszał swój głos i dopiero wtedy wysiadł.

Szedł na miękkich nogach, zataczając się, z trudem stawiał kolejne kroki. Kiedy był już przy niej, opadł na kolana. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Proszę pani... Proszę pani... – powiedział i nagle beknął.

Zrobiło mu się niedobrze. Na czworakach pokonał dwa metry i zwymiotował boleśnie na mokrą ziemię. Wydawało mu się, że za chwilę straci przytomność.

Odwrócił się. Uderzył się otwartą dłonią w twarz i wrócił do kobiety. Chwyił ją za ramiona. Uniósł ją i potrząsnął nią mocno.

– Proszę pani... Proszę pani... – powtarzał, ale jej głowa latała jak u szmacianej lalki.

Odłożył ją, przyłożył dwa palce do jej szyi i przycisnął mocno. Nic nie poczuł. Ale czy to cokolwiek znaczyło? Czy przykładał palce we właściwe miejsce?

Nachylił się, ale nie usłyszał jej oddechu. Klatka piersiowa również się nie unosiła.

Poderwał się gwałtownie z ziemi. Odbiegł kilka metrów w las i nagle poczuł, że właśnie teraz musi oddać mocz, bo nie wytrzyma już ani sekundy.

I tak właśnie zrobił.

Co teraz? – zastanawiał się, kiedy mocny strumień uderzał o leśną ściółkę. Powinien zadzwonić na pogotowie, policję. Sprowadzić pomoc.

Ale po co pomoc, skoro ona już nie żyła?

Bo tak się robi!

Ale jeśli zadzwoni na policję, to go zatrzymają. Wsadzą do więzienia!

Dlaczego mieliby to zrobić? Przecież to jej wina! To ona włączyła się nocą po lesie! To jej nie powinno tu być!

Ale ty jesteś napierdolony jak szpadel! Ile piw wypiełeś?! Ile piw wypiełeś?!

Siedem.

Bo było jeszcze jedno. To ostatnie przed zamknięciem. Na szybko.

Siedem.

Wsadził sobie pięść do ust i zagryzł ją mocno, aż poczuł krew na języku. Wtedy na moment otrzeźwiał.

Skończył sikać i wrócił do kobiety. Chwyił ją pod pachy, przeciągnął z drogi do lasu, rzucił ciało gdzieś pod na wpół uschniętym świerkiem i wsiadł do samochodu. Uruchomił silnik i ruszył.

Przejechał zaledwie kilkanaście metrów, zanim się zatrzymał.

Nie mógł jej przecież tutaj zostawić. Ktoś ją w końcu znajdzie. Za blisko drogi, natychmiast skojarzą, że tylko on teraz tędy jeździ. To będzie aż za proste.

Wrzucił wsteczny i cofnął. Otworzył bagażnik. Poszedł do lasu, odnalazł świerk, zabrał ciało kobiety i wrzucił je do samochodu.

Resztę ledwo pamiętał.

Na pewno był na kempingu. Potrzebował narzędzi. Wziął ze składziku folię, łopatę i kilof. Potem jechał. Najpierw tą samą ciemną, nierówną drogą, którą tak dobrze znał, a która tak okrutnie go zdradziła. Na Przełęcz Kowarską, a później przez las, w stronę granicy z Czechami na przełęczy Okraj. Tam droga się rozgałęziła i pojechał w lewo, w dół, na Lubawkę, i jakąś ścieżką, na której nigdy nie był, a która zaprowadziła go na polanę. Tam wysiadł. Znalazł miejsce na skraju lasu, wykopał dół, wsadził do niego ciało owinięte w folię i je zakopał. Rzucił na grób gałęzie oraz paprocie wyrwane z ziemi.

Kiedy wrócił na kemping, był wykończony. Bolało go całe ciało, wszystkie mięśnie, kręciło mu się w głowie. Położył się od razu do

łóżka, nawet nie wzięwszy prysznic, ale tylko przewracał się z boku na bok, szlochał albo wył w poduszkę.

Nie potrafił zasnąć.

W końcu wstał i wyszedł na dwór w samym T-shircie, ale pomimo mżawki nie było mu zimno. Ruszył prosto do kampera Belgga. Bez zastanowienia załomotał w drzwi. Raz i drugi, z całych sił, aż wóz zadygotał. Dopiero wtedy dotarło do niego, co właśnie robi. W pierwszej chwili chciał uciekać, ale usłyszał ruch w części mieszkalnej pojazdu i wiedział już, że na to za późno. Czekał jak na wyrok.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Belg. Był łysy i niski – nie miał chyba nawet metra siedemdziesięciu – dość okrągły z powodu nadwagi, teraz w samych bokserkach i białym T-shircie. Na widok Jaśka o dziwo się uśmiechnął.

– O! Pan też nie może spać! – powiedział po angielsku.

– Nie. Nie mogę – odparł Jasek. Kilka lat przepracował na zmywakach i budowach w Wielkiej Brytanii, znał więc trochę języka.

Przez moment tak stali. Belg patrzył na niego wyczekująco, a on przelknął ślinę i przejechał językiem po suchych wargach.

– Ja chciałem zapytać... czy ma pan może... No, czy ma pan może piwo?

Belg uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wzniósł palec, w ten sposób każąc mu poczekać, a potem zniknął we wnętrzu kampera i zaraz wrócił z dwiema zimnymi butelkami.

– Piwo! – powiedział, wręczając mu obie. – Dobrze! Belgijskie!

– Dzięki – mruknął zawstydzony Jasek. Ukłonił się niezdarnie, odwrócił się i odszedł.

– Dobrze! Belgijskie! – zawołał za nim Belg, a potem dodał jeszcze po polsku: – Smacznego!

Jasek wrócił do siebie. Otworzył pierwszą butelkę i wypił jej zawartość duszkiem. Potem drugą, już wolniej, ale i tak szybko.

Dopiero wtedy udało mu się zasnąć.

Kiedy obudził się rano następnego dnia, kobieta już na niego czekała.

trzy tygodnie później

Alina Mrowiec zaparkowała przed hotelem, nie wysiadła jednak z wozu. Przez długą chwilę siedziała ze zgaszonym silnikiem i przyglądała się kanciastej bryle budynku. Skręcało ją na samą myśl, że ma wejść do środka. Sięgnęła do schowka, ale nie znalazła tam tego, czego szukała. Zaczęła grzebać wśród dokumentów, książki serwisowej, opakowań chusteczek i zwykłych śmieci, z sekundy na sekundę coraz bardziej zniecierpliwiona, aż wreszcie jej palce odnalazły paczkę papierosów. Wyciągnęła ją i natychmiast poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. Nie powinna palić, a już szczególnie w samochodzie. Będzie walił tytoniowym smrodem. Tyle lat suszyła Mirkowi głowę, żeby rzucił palenie, i teraz wyjdzie na hipokrytkę. Trudno, pomyślała. Otworzyła paczkę. Była pusta.

– Kurwa – wyrwało jej się.

Zacisnęła powieki tak mocno, że aż zatańczyły pod nimi różnokolorowe plamy.

Zmięła w dłoniach opakowanie po papierosach i rzuciła je na podłogę, od strony pasażera. Z tylnego siedzenia zabrała torebkę i wysiadła. Ruszyła w stronę hotelu, ale zatrzymała się po przejściu kilkunastu metrów. Zawróciła. Otworzyła auto i podniosła z podłogi paczkę, a potem wyrzuciła ją do kosza ustawionego tuż przy oszklonych drzwiach w górskim stylu.

Otworzyli z mężem hotel w 2019 roku, w najgorszym możliwym momencie. Ledwo zdążyli się jakoś rozreklamować i rozruszać działalność, a zaczęła się pandemia. Zamknięto ich na jakiś czas, później

obłożono milionem obostrzeń, a gdy już zaczęto je zdejmować, przysła inflacja.

Ale najgorsze było jeszcze przed nimi.

Starła się o tym wszystkim nie myśleć, bo kiedy tylko zaczynała, miała wrażenie, że się topi, zalewana na przemian falami smutku, rozczarowania i rozgoryczenia.

Hotel wybudowali na działce, którą znaleźli wysoko w górach, z pięknym widokiem na Kotlinę Jeleniogórską i zalew Sosnówka. Był to rozległy dwupiętrowy budynek w stylu góralskim, z dwoma skrzydłami. Co nie miało wielkiego sensu, bo w Karkonoszach nigdy przecież nie było górali, tych polskich przynajmniej, ale bali się, że jeśli styl będzie nawiązywał do niemieckiej przeszłości regionu, klienci nie przyjadą. Teraz więc stał tu, w połowie drogi pomiędzy Borowicami a Karpaczem, jakby żywcem przeniesiony z Zakopanego.

Weszła do środka. Obcasy szpilek zastukały wesoło o kamienną podłogę i od razu zrobiło jej się odrobinę lepiej. Lubiła ten dźwięk, uspokajał ją. Przywitała się kiwnięciem głowy z dziewczyną pracującą w recepcji. Ta uśmiechnęła się szeroko i dygnęła. Alina zapamiętała, że plakietka z imieniem na piersi pracownicy jest przekrzywiona. Później zwróci jej na to uwagę.

Weszła do biura. Ledwo zdążyła się rozebrać i powiesić kurtkę na wieszaku, rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołała.

Przed Aliną pojawiła się Dorota Wijas. Była od niej młodsza o dwa lata. Wychowały się na jednym podwórku. Z czasem wyjechała, najpierw na studia do Wrocławia, potem do pracy do Niemiec, gdzie znalazła męża, z którym – jak sama często wesoło wspominała – spędziła pięć najpiękniejszych lat swojego życia i siedem najgorszych. Rozwiodła się i wróciła do Polski, najpierw do Wrocławia, a potem do Jeleniej Góry, żeby opiekować się chorą matką. Szukała pracy i Alina ją zatrudniła. Dorota nie miała odpowiedniego wykształcenia, ale nadrobiła to na wieczorowych kursach. Dla Aliny

ważniejsze było to, że do pomocy przy prowadzeniu hotelu potrzebowała kogoś zaufanego. A kto mógł być bardziej zaufany niż dziewczyna, z którą wspólnie chodziły kraść owoce z sadu sąsiada i siedząc w ciemnym pokoju, ćwiczyły pocałunki?

– I co tam, Dorotka? – zapytała, siląc się na uśmiech.

Dorota zrobiła nieszczęśliwą minę i wyciągnęła przed siebie dokumenty trzymane w dłoni. Niektóre były jeszcze w kopertach.

– Co to takiego?

– Wezwania do zapłaty.

– Od kogo?

– Właściwie od wszystkich, ale najbardziej rzuca się Kolarski. Dzwonił jeszcze dzisiaj i opowiadał, że do sądu nas pozwie. Groził komornikiem i tak dalej.

– Kolarski? – zdziwiła się Alina. – Przecież jesteśmy mu winni jakieś grosze.

– Trochę ponad jedenaście tysięcy – powiedziała Dorota.

Kolarski zajmował się u nich adaptacją przyziemia jednego ze skrzydeł, w którym planowali zrobić spa i niewielki basen. Projekt na razie wstrzymali. Mieli do dyspozycji tylko gabinet kosmetyczny z podstawowymi zabiegami dla gości – masażami i tym podobnymi. Liczyli, że w czasie ferii będzie spore obłożenie i po zimie ruszą ze spa od nowa. Było od nich blisko do stoków w Karpaczu, do Borowic zresztą też. Byłe do zimy, powtarzała sobie często, wtedy się odkują.

– Zadzwońię do niego, porozmawiam z nim i jakoś to załatwię.

– No nie wiem, czy da radę, Alinko. Ze mną nie rozmawiał, tylko wrzeszczał do telefonu i nie dał mi nawet dojść do słowa.

– Bo to furia jest, ale ja mam na niego swoje sposoby – odparła, przyjmując od niej dokumenty.

Gdy Dorota pożegnała się i zniknęła z gabinetu, Alina zajęła miejsce przy biurku. Pobieźnie przejrzała papiery, które przyniosła koleżanka, ale już po kilkunastu sekundach stwierdziła, że nie ma na to siły.

Nie z samego rana. Nie bez kawy.

Odłożyła dokumenty na biurko. Z pełną premedytacją zostawiła też na nim komórkę. Przez chwilę chciała побыć sama ze swoimi myślami.

Poszła do jadalni, która mieściła się w jednym ze skrzydeł hotelu. Co prawda miała ekspres do kawy u siebie, ale po pierwsze, kawa z niego mniej jej smakowała, a po drugie, gdyby została w gabinecie, to zamiast złapać oddech, wzięłaby się pewnie do pracy. Po trzecie wreszcie, w jadalni były wielkie okna i wspaniały widok na panoramę Kotliny Jeleniogórskiej. Właśnie głównie z jego powodu zdecydowali się wybudować obiekt w tym miejscu. Co prawda musieli wyciąć kilkanaście drzew, ale było warto.

– Dzień dobry, pani Alino – przywitała się z nią jedna z pracownic. Kolejna dziewczyna. Plakietka na jej piersi, tym razem zawieszona poprawnie, mówiła, że ma na imię Iwona. Zatrudnili ją przed wakacjami.

– Dzień dobry. Przygotujecie mi kawkę? – zapytała.

– Już się robi.

W jadalni zajęty był tylko jeden stolik. Para emerytów, którzy przyjechali tutaj chodzić po górach, jadła właśnie późne śniadanie. Alina kiedyś z nimi rozmawiała i opowiadali jej o tym, że uwielbiają jesień w Karkonoszach. Uważali, że tutaj to najpiękniejsza pora roku. Ona wolała lato, wiosnę, a nawet zimą, ale zgodziła się z nimi, kierując się zasadą, że klient ma zawsze rację.

Uśmiechnęła się do nich uprzejmie, kiedy ją zauważyli. Starsza kobieta pomachała radośnie ręką, jakby były najlepszymi kolegami. Mężczyzna, siwowłosy i pomarszczony jak przejrzałe jabłko, tylko uniósł lekko dłoń.

Zajęła miejsce i popatrzyła na wystawiony bufet. Na półmiskach ciągle leżały wędliny, warzywa i sery. Podgrzewacze pracowały pod tackami z parówkami i jajecznicą. Alina pomyślała, że znowu przygotowali za dużo jedzenia. Tyle zmarnowanych pieniędzy... Ale

przecież nie mogła sobie pozwolić na to, żeby goście wychodzili po śniadaniu głodni. Pomyślała, że musi zacząć lepiej planować. A może da się znaleźć tańszych dostawców? Co prawda od dawna próbowała to zrobić, ale było jeszcze kilka miejsc, do których nie dzwoniła.

– Byle do ferii – powiedziała sama do siebie.

– Słucham, pani Alino?

Nie usłyszała, kiedy Iwona znalazła się tuż przy niej z filiżanką kawy.

– Nie, nic – odparła i machnęła lekceważąco ręką, jakby odganiała muchę.

– Dla pani biała, jak zawsze? – upewniła się dziewczyna, stawiając przed nią filiżankę.

– Tak, biała. Dziękuję.

– Bardzo proszę, pani Alino.

– A powiedz mi, Iwonko – zatrzymała dziewczynę, która miała już odchodzić – jak śniadanie? Wszyscy goście już byli?

– Wszyscy już zeszli – potwierdziła pracownica i zawahała się. – Z wyjątkiem... Pani wie... No... no... tej...

– Której?

– Jedenastki.

No tak, jedenastka. Kolejny bolesny skurcz w okolicy żołądka.

– Dziękuję ci.

– To ja pójdę pomóc w kuchni.

– Oczywiście.

Dziewczyna odeszła. Emeryci kończyli posiłek. Mężczyzna wycierał właśnie usta w chusteczkę, po czym położył ją na talerzu. Jego żona piła ostatnie łyki herbaty. Wstali, szurając krzesłami, a kiedy przechodzili obok Aliny, kobieta znów do niej pomachała, tym razem na pożegnanie. Właścicielka hotelu odpowiedziała tym samym gestem.

Wrzuciła do swojej kawy dwie kostki cukru ze stojącej nieopodal cukiernicy, zamieszała łyżeczką i wypila łyk. Nie smakowała jej. Po-

czątkowo myślała, że to coś z napojem. Już chciała zawołać Iwonę, kazać jej przeczyścić ekspres, kiedy dotarło do niej, że z kawą jest wszystko w porządku. To w jej ustach, na języku, pojawił się kwaśny posmak.

Odsunęła od siebie filiżankę. Oczywiście wiedziała, skąd to się wzięło. Jedenastka i kobieta mieszkająca tam od trzech tygodni. Rzadko schodziła do jadalni. Mogło się nawet wydawać, że nigdy nie opuszczała pokoju, chociaż musiała to robić, bo z parkingu regularnie znikał jej samochód. Ale nikt nie widział, kiedy to robiła. Poruszała się po obiekcie jak duch.

Alina podniosła się i poszła do kuchni. Przywitała się szybko z pracującymi tam kobietami, poprosiła o tackę i wróciła z nią do bufetu. Postawiła na niej duży talerz z jajecznicą, ciemnym i jasnym chlebem, parówkami, serem, wędlinami i warzywami, miseczkę pełną owoców, kubeczek jogurtu naturalnego, srebrny dzbanuszek z mlekiem i filiżankę z dwiema kostkami cukru. Przygotowała też kawę i naalała soku do szklanki. Popatrzyła na tackę. Sporo tego było, ale przecież nie wiedziała, co kobieta je i na co będzie miała ochotę, musiała więc zabrać wszystkiego po trochu.

Ze śniadaniem w rękach przeszła do drugiego skrzydła, wdrapała się na pierwsze piętro i szybko znalazła się przed wejściem do pokoju numer 11. Poprawiła sobie tackę tak, by ta znalazła się między drzwiami a jej brzuchem, i przytrzymując ją tylko jedną ręką, zapukała. Najpierw delikatnie.

– Proszę pani! – zawołała.

Nie było żadnej odpowiedzi.

Zapukała głośniej i zaraz zrobiło jej się nieprzyjemnie. Pomyślała, że takie natarczywe walenie w drzwi jest jednak niestosowne.

– Proszę pani! – powtórzyła.

Nasłuchiwała, ale nie dochodził do niej żaden dźwięk.

– Niebawem zamykamy jadalnię, więc przyniosłam pani coś do jedzenia! Pomyślałam, że może by pani chciała...

Nie dokończyła, bo nie miała pojęcia jak. Serce biło jej teraz szybciej niż zwykle. Dłonie zaczynały się robić śliskie od potu i przyszło jej do głowy, że jeszcze trochę, a tacka jej się wyslizgnie.

Po drugiej stronie drzwi ciągle panowała cisza.

A jeśli ona się zabiła, pomyślała nagle. Jeśli połknęła za dużo tabletek albo się powiesiła. Albo znajdą ją, leżącą w wannie, z podciętymi żyłami.

Nikt by się przecież nie zdziwił, prawda?

Potrząsnęła głową, żeby odgonić od siebie te obrazy. Nie. Może po prostu nie było jej w pokoju. Może znowu się wymknęła. Alina próbowała sobie przypomnieć, czy widziała na parkingu czerwoną mazdę, ale mózg złośliwie nie podsuwał żadnych obrazów.

Odłożyła tackę na podłogę.

– Proszę pani – powiedziała, tym razem ciszej, trochę nieśmiało, ale ciągle na tyle głośno, że ktoś po drugiej stronie powinien ją usłyszeć. – Zostawiam tackę z jedzeniem pod drzwiami. Proszę nie kłopotać się z jej odnoszeniem, tylko zostawić ją w pokoju. Sprzątaczkę zabiorą.

Przez chwilę zastanawiała się jeszcze, czy powinna coś dodać, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Ruszyła z powrotem do jadalni i zimnej już pewnie kawy. Zatrzymała się przy schodach prowadzących na dół, bo wydawało jej się, że usłyszała jakiś szmer. Odwróciła się. Tacka, którą zostawiła przed jedenastką, zniknęła. Czyli kobieta była w środku i najwyraźniej wszystko było z nią w porządku.

Alina poczuła ulgę. W sumie to jednak dobrze, że tamta jej nie otworzyła. Nie była pewna, jak by się zachowała, gdyby rzeczywiście stanęły w twarzą w twarz. Czy miałyby dość odwagi, żeby spojrzeć jej prosto w oczy? I czy byłaby gotowa na to, co może w nich zobaczyć?

Drewniane schody na klatce starej kamienicy na kowarskiej starówce cicho skrzypiały pod butami aspirantki Marii Szulej. Sama klatka została niedawno odnowiona. Ściany, kiedyś odrapane, ozdobione wulgarnymi napisami, teraz były pokryte grubą warstwą jasnobeżowej farby. Z jakiegoś powodu żaden z mieszkańców nie wykorzystał flamastrów, żeby napisać, kto lub co jest chujem, albo narysować męskie przyrodzenie, choć wcześniej zdarzało się to nagminnie. Beżowy ich odstrasza czy co? – pomyślała i uśmiechnęła się pod nosem.

Policjantka zatrzymała się na półpiętrze, żeby przepuścić scho-
dzącą z góry staruszkę z laską i kilkoma reklamówkami zawinię-
tymi w kłębek. Chwilę później stanęła przed drzwiami mieszkania,
którego szukała. Z wewnątrz dochodził polski hip-hop, puszcza-
ny tak głośno, że nawet ona słyszała, co podmiot liryczny zamierza zro-
bić z kolejnymi sukami, które twarde jak beton życie stawia na jego
drodze. Załomotała zaciśniętą pięścią, a potem oparła się o dzwonek.
Wysoki, świdrujący dźwięk nawet dla niej był nie do zniesienia. Tym
w środku pewnie roztapiał mózg. I tak jak się spodziewała, najpierw
usłyszała czyjś krzyk i przekleństwo, potem szybkie kroki, aż wresz-
cie drzwi się otworzyły.

– Co jest, kurwa?! – wrzasnął wściekle Donio i zaraz zrzędnęła mu
mina, kiedy zobaczył stojącą naprzeciwko Szulej. – Co jest, kurwa,
pani władzo? – zapytał już ciszej i odrobinę uprzejmiej.

Miał dziewiętnaście lat, łysą głowę i szerokie barki. Krótki rękaw
odślaniał żylaste, umięśnione ramiona, biały T-shirt kontrastował

z czarnymi spodniami od dresu. Oczy Donia poruszały się nerwowo, ale on już tak miał. Często mrugał, jakby cierpiał na niezdiagnozowaną krótkowzroczność.

– Mogę wejść, Donio? – zapytała.

– A ma pani... ten... no, nakaz?

– Donio – spojrzała na niego pobłaźliwie – a jak koledzy do ciebie przychodzą, to też im każesz najpierw pokazywać nakaz?

– No nie.

– A ja jestem przecież twoją koleżanką, Donio. Od koleżanki chcesz nakaz dostać? No nie wygłupiaj się – powiedziała i po prostu weszła do mieszkania. Chłopak mimowolnie odsunął się, by zrobić jej miejsce.

W środku pachniało kurzem, starością, rosołem gotowanym tysiąc razy i – przede wszystkim – marihuaną. Szulej przeszła do dużego pokoju, gdzie wokół stołu siedziało trzech chłopaków. Policjantka знаła wszystkich, nawet lepiej, niżby sobie życzyła. Misiiek, Łysy i Mati. Katalog ich występków był równie mało oryginalny jak ich ksywki. W pokoju do dotychczasowej palety dołączył nowy zapach – woń taniego odświeżacza do powietrza. Szulej zwróciła jeszcze uwagę na szeroko otwarte okno, wypełnioną popielniczkę oraz butelki z piwem na stole. Podeszła do wieży i wyłączyła ją, czym przerwała wokaliście w połowie opowieść o kolejnych weekendowych podrywach.

– Pani władzo! – zaprotestował jeden z chłopaków.

– A ty, Mati, już pełnoletni jesteś, że piwo pijesz? – zapytała.

Chłopak wyszczerzył szeroko zęby.

– Jestem! Od dwóch miesięcy! Dowodzik pokazać?

Machnęła ręką. Ona przyglądała się im, a oni jej. Czterech chłopaków wyższych od niej o głowę, masywniejszych i silniejszych. Pomyslała, że kiedyś, na początku służby, może by się bała w takiej sytuacji, ale teraz wiedziała, jak sobie z nimi poradzić. Poza tym to oni, pomimo hardych min lub drwiących uśmieszek, byli przestraszeni. Widziała to w ich oczach.

– Co jest, pani władzo?

– Po rower przyszedłam, Donio.

– Ale po jaki rower? – zapytał ze źle udawanym zdziwieniem.

– Po jeden taki naprawdę zajebisty rower – odpowiedziała. –

Jeden z tych, co kosztują tyle, ile mały samochód. Z przerzutkami i łańcuchem, ramą z włókna szklanego czy z czego oni ją tam teraz robią. Ale przede wszystkim w żółtym kolorze. Przyszedłam więc po żółty rower.

– Ja nie wiem, o co chodzi!

– O rower, Donio.

– Jaki, kurwa, rower?!

– Na pedały.

Tak jak się spodziewała, trójka siedząca przy stole zarechotała radośnie.

– Słuchaj, Donio – powiedziała. – Przyjechał do naszego miasteczka pewien pan aż z samego Gdańska. I przywiózł ze sobą zajebisty, drogi i żółty rower, żeby pojeździć po górach. Ale popełnił błąd, bo zatrzymał się przy Carrefourze, żeby kupić coś do picia. No i wyobraź sobie, że w tym czasie ktoś mu ten rower ukradł. Żeby nie powiedzieć: zajebał. Nieźle, nie?

– A kłódki nie miał? – zapytał z kanapy Misiek.

– Ktoś mu ją przeciął.

– To trzeba było se kupić lepszą.

– A wiesz, że to samo sobie pomyślałam, Misiek? Że jak sobie kupujesz rower za kilkanaście tysięcy złotych, to stać cię na porządną kłódkę. No, ale co zrobić! Wyszło, jak wyszło.

– A co ja mam z tym wspólnego?! – wyrzucił z siebie Donio.

– To, że ty ten rower ukradłeś.

– Ja?! No co pani!

– Donio! Przecież ludzie cię widzieli!

– Jacy ludzie?!

– Wszyscy! Ci, co tam chodzą, zakupy robią, siedzą na ławeczkach. Wszyscy ludzie!

– To pierdoła głupio, bo ja żadnego roweru nie mam.

Szulej przewróciła oczami. Minęła Donia, wyszła z dużego pokoju i podeszła do kolejnych drzwi. Otworzyła je szeroko, a potem teatralnym gestem wskazała na zabałaganione wnętrze i żółty sportowy rower stojący nieopodal łóżka.

– Nie mam, kurwa, pojęcia, skąd on się tam wziął – powiedział Donio, a z dużego pokoju dobiegł ich rechot kolegów.

– Oczywiście, że nie masz – zgodziła się i ciężko westchnęła. – Powiedz mi, Donio, co ty z nim chciałeś zrobić. Na OLX-ie sprzedać? Bo to jest drogi, specjalistyczny rower, a nie jakieś gówno z marketu. Tego się nie puszcza za parę stówek, a jak się puszcza, to od razu wiadomo, że lewy. Facet do tego jest prawnikiem, więc jest cięty. I ma kumpla informatyka, który ma zaraz założyć monitoring wszystkich portali aukcyjnych.

Chłopak milczał.

– Chcę, żeby do ciebie dotarło, bęcwale, że ja ci tutaj przysługę wyświadczam – powiedziała Szulej i spojrzała na niego badawczo, jakby chciała się upewnić, że zrozumiał.

Weszła do pokoju, z obrzydzeniem ominęła brudną bieliznę leżącą na podłodze, chwyciła za rower, wykręciła nim i bez słowa wyprowadziła go z mieszkania. Donio towarzyszył jej ze spuszczoną głową i nie odzywał się już ani słowem. Gdy zamknął za nią drzwi, pomyślała, że mógłby przynajmniej podziękować. Gdyby jej się chciało, naprawdę mogłaby sprowadzić na niego spore kłopoty. Ale jej się nie chciało. Znała Donia i jego kolegów od lat. Zachowywali się jak typowi młodzi i znudzeni faceci, którzy próbują jakoś żyć w takim miasteczku jak Kowary. Trochę łobuzują, czasami wdadzą się w jakąś bójkę, czasami szcują w miejscu publicznym, trochę handlują trawką, ale za parę lat znajdą wreszcie porządną robotę, będą mieli dziewczynę, uspokoją się i usatukują. Trzeba ich było tylko pilno-

wać, profilaktycznie szturchnąć raz czy dwa, ale wsadzanie ich do więzienia albo nawet w zawiasy oznaczało proszenie się o kłopoty i zakłócenie delikatnego naturalnego procesu dorastania.

Podniosła rower, zaskakująco lekki jak na swoje gabaryty, i zarzuciła go sobie na ramię. Zeszła po schodach i już po chwili była na ulicy. Zapięła do końca polarową kurtkę i już chciała pojechać, ale siedzenie znajdowało się za wysoko.

Aspirantka Szulej była niska i pucułowata. Zdawała sobie sprawę, że z powodu krótko ostrzyżonych włosów i minimalnego makijażu (jeśli w ogóle jakiś nosiła) z daleka można ją było pomylić z chłopcem z nadwagą.

Obniżyła siodełko. Teraz już mogła ruszać.

Zjechała w dół ulicą 1 Maja, przez niemalże całe miasto, żeby skręcić w Zamkową, niedaleko starej fabryki dywanów, a później w lewo – w Grabskiego. Po kilkuset metrach dotarła do komisariatu. Mieścił się w nowym budynku, wybudowanym kilka lat wcześniej. Szary, lekko depresyjny klocek wyglądał, jakby przeniesiono go żywcem z osiedla domków szeregowych, przemalowano i lekko przerebiono, ale przynajmniej nie musieli siedzieć jedno na drugim, jak w starym komisariacie na Sienkiewicza.

Wprowadziła rower do środka, minęła dyżurkę i wtedy na jej drodze stanął komisarz Jerzy Grzybowski, komendant komisariatu. Szulej zawsze kojarzył się z typowym wujem na polskim weselu – z krótkimi siwymi włosami, bujnym wąsem pod nosem i zbyt małą koszulą, która z trudem opinała rosnący brzuch. Kowarscy policjanci nazywali go Grzybem, ale bez złośliwości, bo komendant był raczej lubiany. Sam jednak nie przepadał za swoją ksywą i potrafił się zemścić kiepską rozpiską, kiedy usłyszał, że ktoś go tak nazywa.

– Co ty tutaj robisz, Szulej? – zapytał na jej widok. – Przecież dzisiaj masz wolne.

Podniosła rower i odwróciła go tak, żeby mógł mu się dobrze przyjrzeć.

– Służba nie drużba, panie komendancie. A to kolejny sukces polskiej policji!

Grzyb zmarszczył brwi, jakby w pierwszej chwili nie zrozumiał, co policjantka ma na myśli, a potem się rozpozgodził.

– A! To rower faceta z Trójmiasta.

– Tak jest.

– Pewnie się ucieszy. Prawie się popłakał, jak składał zawiadomienie o kradzieży. Myślałem, że się zeszcza w tę lycrę. Kto go zwinął?

Szulej zrobiła minę niewiniątka i wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, szefie.

– Jak to nie wiesz?

– Tak po prostu. Znalazłam go przed wejściem do komisariatu. Ktoś go musiał tam podstawić. Złodziej pewnie się zorientował, że nie będzie łatwo go opchnąć, i postanowił oddać.

– I postawił przed komisariatem? – W głosie komendanta zabrzmiała złośliwa nuta.

– Tak jest – potwierdziła Szulej.

– Zdajesz sobie sprawę, że mamy tutaj kamery, przed wejściem i na parkingu, więc mogę teraz pójść i sprawdzić, kto go podstawił?

Spojrzał na nią wyczekująco, a ona poczuła, że mimowolnie się czerwieni. Co ją podkusiło, żeby powiedzieć, że stał przed komisariatem? Mogła przecież wybrać dowolne miejsce w całych Kowarach. Powiedzieć, że zauważyła go pod sklepem, kiedy przejeżdżała obok. Zamiast tego wymyśliła jedno z najgłupszych kłamstw.

– No, ale ja miałam na myśli stary komisariat. Ten na Sienkiewicza.

– Aha... Stary komisariat – powiedział komendant i podrapał się po policzku. – Wiesz co, Szulej? Oddaj ten rower jednemu z chłopaków i niech da znać temu koleśowi z Gdańska, że zguba się znalazła.

– Tak jest.

– I jeszcze jedno, Szulej.

– Tak?

– Zdajesz sobie sprawę, że żaden z tych dupków nie doceni tego, co teraz robisz?

Nie odpowiedziała.

– Nie będę w tym grzebał tylko dlatego, że dzisiaj jest dzień, jaki jest. Ale odpalisz mi jeszcze raz taki głupi numer i będziesz miała kłopoty. Zrozumiałaś?

– Tak – powiedziała cicho.

– To oddaj teraz ten rower chłopakom i spierdalaj na cmentarz.

Zrobiła to, co jej kazał. Zaprowadziła rower do pokoju kryminalnych i porozmawiała z jednym z kolegów, który obiecał, że skontaktuje się z facetem z Gdańska. W przeciwieństwie do Grzyba nie zadawał niepotrzebnych pytań. Nie dziwiła mu się. Ostatnie tygodnie całej lokalnej policji dały mocno w kość. Pewnie cieszył się, że przynajmniej jeden temat spadł mu z głowy.

Kiedy wychodziła z komisariatu, Grzyb wyłonił się jeszcze na moment ze swojego gabinetu.

– Szulej! – zawołał za nią.

– Tak, panie komendancie? – zapytała, odwracając się powoli. Przez głowę przeszło jej, że jednak zmienił zdanie i postanowił wziąć ją na dywanik. A potem co? Postępowanie wyjaśniające? Nagana?

– Jeszcze raz... – zaczął Grzyb i zaraz przerwał, chrząknął, jakby coś wpadło mu do gardła – moje kondolencje.

Jego słowa albo ton, jakim je wypowiedział, z prawdziwym współczuciem, a może sam fakt, że były tak nieoczekiwane, sprawiły, że w jej oczach stanęły łzy. Chciała podziękować, ale nagle poczuła, że nie ma na to siły. Skinęła tylko głową i wyszła.